

RENATA RUSNAK

STO SIĘDZIEDZIESIĄTA
PIERWSZA
PODRÓŻ
BAZYLIŃ VON WILCHEK



RENATA RUSNAK

STO SIEDEMDZIESIĄTA PIERWSZA PODRÓŻ BAZYLI VON WILCHEK

Ilustrowała Barbara Iwańska



Cała powieść do kupienia renatarusnak.com/ksiazka

NAJNOWSZY FOTEL BAZYLI

Pomimo usilnych starań Bazylia von Wilchek w żadnym sklepie nie znalazła odpowiednio eleganckich i wygodnych butów. Czekała ją kolejna niebezpieczna misja w górach i chciała się do niej dobrze przygotować. Kupiła za to fotel. Szykowny, niezwykle wygodny, w dodatku z wyprzedaży. Był to jedyny taki fotel na świecie. Nie pasował do nikogo innego, tylko do Bazylia. Tak więc choć zakup fotela nastąpił nieoczekiwanie, można się go było spodziewać i wcale się mu nie dziwić. Wszystko, co działo się w życiu Bazylia von Wilchek, było niezwykle, zatem to, co wydarzyło się później, z jej punktu widzenia było najzupełniej normalne.

Ryszard, oficjalnie jej kamerdyner, szofer i ogrodnik, a w rzeczywistości zaufany opiekun i przewodnik, właśnie wypakował fotel z samochodu.

– Dokąd go zanieść, panienko? – Zwracał się do niej w ten sposób, ponieważ nigdy nie wyszła za mąż, a znał ją od urodzenia.

– Nie mam pojęcia. – Dopiero teraz Bazylia zorientowała się, że dodatkowy fotel nie był jej potrzebny. – Postawmy go na razie tutaj. – Wskazała miejsce tuż przed wejściem do swojego domu w Latarni na Klifie. Obicie fotela w egzotyczne, czerwono-granatowe kwiaty pięknie komponowało się ze świeżo rozkwitłym ogrodem.

Dwa dni później Bazylia, spakowana i gotowa do podróży, zjechała windą z piątego piętra, gdzie mieścił się jej gabinet. Przed wyruszeniem na misję zaplanowała przyjemny majowy odpoczynek z przyjaciółmi. Miała udać się do pensjonatu w

górach, gdy okazało się, że samochód, którym Ryszard zamierzał odwieźć ją na pociąg, odmówił posłuszeństwa.

Bazylia spojrzała na piękny zegar słoneczny, który poleciła zamontować na Latarni. Zanosilo się na to, że się spóźni. Nie miała w zwyczaju denerwować się drobiazgami, dlatego podczas gdy Ryszard bezskutecznie walczył z silnikiem, ona usiadła w swoim nowiutkim fotelu. Do tej pory stał przed Latarnią, bo zanim wymyśliła, gdzie go postawić, zdążyła o nim zapomnieć.

Podniosła się, obejrzała fotel ze wszystkich stron. Upewniła się, że wart był zakupu i znowu usiadła. Nadal nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Jej mieszkanie w Latarni było przestronne, ale nie lubiła go zagracać. Westchnęła. Starła się kontrolować nieplanowane zakupy, co nie zawsze jej się udawało.

Skupiła się na widoku morskiego horyzontu, który zawsze ją relaksował. W tym stanie ducha poczuła, że fotel idealnie z nią harmonizuje. „Najprzyjemniej byłoby podróżować właśnie tak” – pomyślała.

Kwadrans później Ryszard stanął przed nią, wycierając ręce w szmatkę.

– Bez dokładnego przeglądu trudno stwierdzić, co mu dolega, panienko – oznajmił. Choć był już dobrze po siedemdziesiątce, kondycji, krzepy i bystrości umysłu mógłby mu pozazdrościć niejeden młodzieniec. Skoro twierdził, że z samochodem nic się nie da zrobić od ręki, to tak było.

Bazylia nie namyślała się ani chwili dłużej. Zerwała się na równe nogi, aż jej półelegancka podróżna sukienka w etruskie wzory zafalowała na wietrze. Z braku laku na nogach miała porządne, ręcznie robione kowbojskie buty. Pobiegła do garażu,

gdzie stał surowy prototyp najnowszego pojazdu, nad którym pracowała załoga jej laboratorium badawczego. Pojazd, roboczo zwany Omega Alfa 1.18, łamiąc wszelkie prawa newtonowskiej fizyki, poruszał się za pomocą energii Pola Punktu Zerowego. Widząc, co się święci, Ryszard natychmiast zaoponował:

– To bardzo nieroztropne, panienko, bardzo nieroztropne. Zdecydowanie odradzam.

Bazylią zignorowała jego obawy. Przez krótką chwilę uważnie przyglądała się pojazdowi. Zrobiła skomplikowane obliczenia stosunku swojej woli do zwątpienia i rozleniwienia. Siła jej woli była kluczowa, bo to ona uruchamiała napęd, łącząc Pole Punktu Zerowego z fizycznością. Tego, że uruchomi pojazd, Bazylią była pewna. Musiała się tylko zastanowić, czy nie zabraknie jej determinacji do podróży tak dalekiej, jak planowała. Choć była kobietą o silnym intelekcie, łatwo rozpraszały ją marzenia.

Dodatkowy problem stanowiło to, że pojazd był długi, obły i brzydki. Ilekroć do niego wsiadała, miała wrażenie, że wygląda jak nadzienie zeschniętego cannoli, z którego odpadł nawet cukier puder. A trzeba wiedzieć, że hrabina von Wilchek uwielbiała komfort i była niezwykle wrażliwa na doznania estetyczne. Nie mogła pogodzić się z tym, że załoga Omegi Alfy tak bardzo skupiła się na konstrukcji napędu, że zapomniała o podstawowych zasadach dobrego designu. Spojrzała na niewygodne siedzisko i aż wzdrygnęła się z niechęci.

Nagle zaświtała jej myśl.

– Fotel! – zawołała energicznie i poleciła Ryszardowi wnieść go do garażu.

Ryszard wiedział, że jeśli Bazylią coś postanowi, to się jej od tego nie odwiedzie. Zrezygnowany przyniósł fotel, wyjął

skrzynkę z narzędziami, którą dopiero co schował, i zaczął pomagać przy wymontowywaniu siedziska. Szczęśliwie lekka i wytrzymała karoseria ze zrecyklingowanego plastiku była składana jak klocki Lego. Na złączeniach wzmacniał ją tylko mało skomplikowany śrubunek. Dzięki temu dosyć szybko uwinęli się z wymianą okropnego siedziska na piękny i wygodny fotel. Zmieścił się idealnie między wąskimi ściankami, wystarczyło kilka wkrętów, żeby go przymocować. Ryszard marudził, że konstrukcja fotela może nie wytrzymać mechanicznych napięć, jakim będzie poddawany podczas skrętów, przyspieszania i hamowania, ale Bazylia skwitowała to krótko:

– Bez ryzyka nie ma wkładu w rozwój świata.

Pojazd wymagał przetestowania w warunkach nielaboratoryjnych i to właśnie zamierzała uczynić. Najbliższa podróż mogła dostarczyć danych istotnych dla całego projektu, a przecież po to zabrała prototyp z laboratorium.

Kiedy wszystko było gotowe, z wielkim zadowoleniem rozsiadła się w swoim ulepszonym pojeździe. Założyła sensoryczne rękawice, konieczne do sterowania nim. Wykonane z inteligentnej biomasy przewodziły jej polecenia do maszyny. Na głowę wsunęła specjalną opaskę podtrzymującą dwie soczewki, które poprawiały koncentrację na energii Pola Punktu Zerowego. Bazylia przejrzała się w lusterku i westchnęła. Opaska była równie brzydka co reszta pojazdu. Szybko skryła ją pod swoim ulubionym szalem w morskim kolorze, z którym nie rozstawiała się bez względu na pogodę.

Nie patrząc na Ryszarda, wystawiła rękę przez okno. Uśmiechnęła się szelmowsko, nieprzekonująco ukrywając igrasę

dziecięcą radość z czekającej ją przygody. Opiekun spróbował jeszcze jednego argumentu:

– Już się prawie ściemnia, panienko. Nie ma co jeździć po nocach niewypróbowanym pojazdem.

– Tak jest, obiecuję się wysypiać – zaśmiała się w odpowiedzi.

Ryszard westchnął i podał jej przyszykowany wcześniej koszyk z prowiantem. Bazylia przymknęła oczy, skupiając się na energii Pola Punktu Zerowego. Pomachała staremu druhowi i ruszyła szybko, zostawiając za sobą malowniczo położoną Latarnię.

SPÓŹNIONE PRZYBYCIE

Do umówionego pensjonatu z widokiem na głębokie i rozległe doliny Bazylia dotarła pół dnia po wyjeździe ostatniego majówkowicza. W normalnych warunkach trasa znad Bałtyku w Bieszczady nie powinna zająć więcej niż dziewięć godzin, ale skoro obiecała Ryszardowi nie jeździć nocą, odbiła na Berlin. Właściwie było po drodze. Zeszło jej dwie noce, bo na Kreuzbergu trafiła na znakomity wernisaż, po którym przyjaciele zabrali ją na przedłużający się *after*.

Potem nie było łatwiej, ponieważ bolała ją głowa i miała małe problemy z koncentracją. W chwili roztargnienia wybrała piękniejszą, za to trudniejszą i dłuższą trasę przez Karkonosze. Pojazd, którego napęd zależał wyłącznie od siły jej woli, kilkakrotnie zaciął się przy podjeździe na szczególnie strome wzgórza. Raz nawet stanął na kilka godzin w całkowicie nudnym terenie, przyprawiając Bazylię o łzy. Jej wola zdecydowanie

słabła nie tyle wobec przeszkód, ile wobec przeszkód bez większego znaczenia.

– Muszą wynaleźć jakieś antidotum dla mnie. Najlepiej euforyk, żebym się nieustannie cieszyła z bycia żywym przetwornikiem prądu – marudziła pod nosem.

Bardziej denerwowała się na siebie niż na kogokolwiek innego. Lubiła sądzić, że jej wola jest niezłomna, a tu proszę, pojazd nie poruszał się zbyt płynnie. Niedługo, bo już kilkanaście dni później, Bazylii uda się zsynchronizować swoją podświadomość ze świadomością Pola Punktu Zerowego tak dalece, że będzie prowadzić pojazd automatycznie i bez myślenia. Na razie jednak nie miała o tym pojęcia. Drażniło ją stałe koncentrowanie się na Polu, bo jak długo można się ekscytować skupianiem woli na jednym i tym samym? Było jednak za późno na próżne żale. Zawrócić nie mogła, za to w chwilach słabości jeszcze dwukrotnie zboczyła z trasy do ulubionych karczm w górach. Zamiast zjeść i krótko odpocząć, w jednej całej dzień odsypiała Berlin, a w drugiej do rana grała w kości o ukryty skarb osiemnastowiecznych opryszków karpackich.

Podczas majówki miała spotkać się z przyjaciółmi: bardzo znanym szefem kuchni góralskiej, wyjątkowo utalentowaną pianistką chopinowską, grywającą również na wiolonczeli, oraz pewnym lekkoduchem, który odziedziczył fortunę po swoich przodkach i, nie musząc martwić się codzienną pracą, niezbyt oddanie poświęcał się sztuce. Niestety, zanim Bazylia dotarła na miejsce, wszyscy już wyjechali. Taki stan rzeczy mógłby zmartwić każdego, lecz nie ją. Przecież w swoim przepełnionym niespodziankami życiu stale musiała być gotowa na nieoczekiwane zwroty akcji. Dlatego zaparkowała w cieniu drzew

swój niezbyt atrakcyjny, za to wyposażony w piękny fotel pojazd i zajęła zamówiony na wcześniejszy termin apartament. Postawiła walizę w miejscu, z którego łatwo ją było złapać, gdyby doszło do gwałtownej zmiany planów. Zrelaksowana rozsiadła się w wiklinowym fotelu na tarasie i oparła nogi o barierkę. Być może nie była to zbyt elegancka pozycja, cóż jednak mogła poradzić na to, że jej kosmiczny pojazd nie został ergonomicznie zaprojektowany? W końcu lepiej być nieelegancką niż dostać żylaków.

– Aach... – westchnęła poruszona, gdyż dopiero teraz uderzyło ją piękno rozścielającego się u jej stóp widoku. Oniemiała kontemplowała go przez dobrych kilka godzin. Z tego milczącego zachwyty wyrwał ją dopiero zachód słońca. Był nadzwyczaj urokliwy, lecz pogрузzył dolinę w półmroku, w którym trudno ją było dalej podziwiać.

Normalnie Bazylia wytrwałaby do nocy, by w świetle księżyca napawać się rozbudzającą wyobraźnię kreską górskich grani. Takie właśnie momenty skłaniały ją do snucia fantastycznych opowieści oraz obmyślania fabuły scenariuszy filmowych dla Hollywoodu. Wyrażnie przeczuwała, że z górskich lasów dobiegłoby ją odbite echem wołanie dzikich wilków, na które była tak bardzo wrażliwa. Musiała jednak się ruszyć, ponieważ od kilkunastu godzin nic nie jadła, a przecież znana była z tego, że jeść uwielbia dobrze i dużo. Nie tyła od tego regularnie, tylko nieregularnie.

– To przez ten ruch i podróże – mówiła każdemu, kto nie mógł się nadziwić, że w jej kobiecym ciele mieściły się takie ilości smakołyków. Po każdym wyjątkowo obfitym posiłku przybierała na wadze, ale zaraz znowu szczupłała i wszystkim wydawało się, że to było tylko przewidzenie.

W pensjonacie, w którym się zatrzymała, jedzenie podawano więcej niż przyzwoite. Oczywiście liczyła na wspaniałe doznania kulinarne, jakie na podobnych wyjazdach zapewniał jej przyjaciel, wybitny kucharz. Niestety, podobnie jak inni majówkowicze, i on musiał wrócić do swych obowiązków w określonym terminie. Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem, takie żale za utraconymi możliwościami nigdy nie leżały w naturze hrabiny.

– Co było, to nie jest, co jest, to nie będzie – powtarzała w podobnych sytuacjach, ruszając prosto w nieznane.

WIOSENNE ORZEŻWIENIE

Bazylia von Wilchek zabawiła całe pięć majowych dni w niezwykle pięknym otoczeniu przyrody. Siedząc na tarasie widokowym, opaliła się tak bardzo, że czterokrotnie zeszała z niej cała skóra. Przydało się to po długim zimowym sezonie, który spędziła na Alasce, gdzie badała życie dzikich wilków. W tym czasie wzięła udział w kilku zawodach psich zaprzęgów i dwa najważniejsze z nich wygrała. W trzecim zajęła czwarte miejsce, ponieważ złapała ją okropna śnieżycyca i straciła głos od przekrzykiwania wiatru. Ciągle jeszcze dokuczała jej lekka chrypka, na którą nie miała czasu zwracać uwagi.

Piątego dnia pobytu w pensjonacie lunął rześisty deszcz, który zmył z Bazylii wszystkie warstwy schodzącej skóry. Dopiero po kilku godzinach tego naturalnego prysznica poczuła się wystarczająco odświeżona. Jej ciało wreszcie nasyciło się witaminą D i wiosennie orzeźwiło.

Stanęła całkiem naga przed lustrem i bardzo dokładnie się sobie przyjrzała. Tak, skóra znowu zrobiła się cudownie

ożywiona, rześka i idealnie gładka. Przyczyniła się do tego odpowiednia dieta złożona z dużych ilości pachnących nowalijek. Porastały całe nasłonecznione zbocze, po którym hrabina chętnie myszkowała.

Na koniec popatrzyła na swoje lśniące, kruczoczarne włosy. Sięgały już do samej ziemi i wyglądały, jakby zaraz miały w nią wrosnąć i się ukorzenieć.

– Oho – szepnęła konspiracyjnie.

Szybko złapała z walizy spore żelazne nożyce. Kiedy była mała, jej babka tuż przed śmiercią zamknęła się na trzy dni w swoich komnatach. Spędziła je w samotności na rozmyślaniach. Ostatniego dnia wnuczka zerknęła przez dziurkę od klucza. Zobaczyła babkę trzymającą w jednej garści bardzo długie, żywe, wijące się włosy, w drugiej zaś nożyce. Trochę to przeraziło Bazylkę, a trochę zafascynowało. Dlatego instynktownie zatrzymała nożyce, a teraz się z nimi nie rozstawiała. Jej własne włosy potrzebę ukorzenienia zaczęły przejawiać bardzo późno – dopiero wtedy, gdy przeżyła silny zawód miłosny.

Bazylia musiała ściąć je znienacka. Gdyby jakimś cudem zorientowały się, co planuje, późniejsza fryzura za nic by się nie układała. Przerabiała to już parokrotnie. Trzeba było działać szybko i bez namysłu. Kilka zdecydowanych cięć na wysokości łopatek i już wyrastająca z głowy aż do ziemi chęć zakorzenienia się zniknęła, jak ręką odjął. Bazylia nie miała pojęcia, w jakich sytuacjach rosły włosy babce – w jej przypadku działało się to zawsze, ilekroć odrobinę dłużej zostawała w pięknym, przepełnionym harmonią miejscu, gdzie ogarniały ją silne emocje. Jakby poprzez włosy wyrażała się jej podświadoma potrzeba, by osiąść gdzieś na stałe.



Ilustracje Barbara Iwańska

Nie mogła na to teraz pozwolić. Po pierwsze, prawdziwym celem jej podróży były odległe Himalaje. Po drugie, miała przecież swoją ukochaną Latarnię na Klifie. Po trzecie, frustracja z powodu nudnego sterowania pojazdem nie była wystarczającym powodem do zaniechania dalszej jazdy. Nie mogła przecież powiedzieć, że monotonia podróży wywołuje w niej jakiekolwiek emocje, dlatego zaczęła podejrzewać się o to, że obawia się trudnej misji i zwyczajnie usiłuje jej uniknąć. Po czwarte, nawet jeśli pominąć zmuszające ją do stałego ruchu misje, sama wolała zwiedzać coraz to nowe, piękne miejsca niż zakorzenić się w jednym, bodaj najpiękniejszym.

Po raz ostatni wyszła na taras widokowy, by rzucić okiem na rozkwitłą nad doliną tęczę, której czubka prawie mogła sięgnąć. Głęboko odetchnęła i potakując sama sobie, powiedziała:

– Zdecydowanie pora ruszać w drogę.

Z walizą w jednej ręce i ze ściętymi włosami w drugiej, Bazylia wyszła przed pensjonat. Walizę wstawiła do pojazdu, ale włosy, nadal żywe, musiała gdzieś zakopać. Przekonała się już, że wyrastają z nich różne lokalne odmiany drzew i krzewów owocowych. Raz w Piemencie wyrosła nawet cała winnica, z której pochodziło świetne wino.

Nauczona doświadczeniem, ruszyła w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Musiało być wystarczająco nasłonecznione, osłonięte przed gwałtownym wiatrem i na tyle oddalone od lasu, by przyszłe drzewko mogło wyrosnąć silne i zdrowe. Bazylia miała nadzieję, że tym razem będzie to czarny bez. Nieopodal pensjonatu mieszkał mistrz lokalnych nalewek. Hrabina bardzo ceniła sobie produkowane przezeń trunki, zwłaszcza te z czarnego bzu. Uwielbiała je sączyć zimowymi wieczorami przy kominku w gabinecie. A że rzadko bywała w Latarni, mogła pochwalić się kolekcją bardzo starych roczników, które w każdym innym domu dawno już zostały wypite, a nawet zapomniane.

Wreszcie znalazła właściwe miejsce i zakopała rwące się do życia włosy, lecz gdy podniosła się z ziemi, zauważyła, że powrotną drogę do pojazdu zastępuje jej duży kot. Był biały, puszysty i miał błękitne oczy. Siedział i w milczeniu, ze zwykłą kocią wyniosłością przyglądał się Bazylii. Bardzo ją to zirytowało, bo nie chciała, by ktokolwiek poznał sekret jej pragnących się ustatkować włosów. Poza tym nie przepadała za

kotami. Najczęściej udawała, że ich nie widzi, a one udawały to samo. Bazylia, mimo że w sumie była skromna, przywykła do tego, że zwraca na siebie uwagę – nie tylko ze względu na swoje pochodzenie, ale też interesujący wygląd. Wyróżniała się oryginalnym ubiorem i była piękna, co przyciągało wzrok zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Krótko mówiąc, trudno jej było nie zauważyć, chyba że wykonywała jakieś tajne zadania, bo wówczas świadomie stawiała się niewidzialna.

To ostatnie było kolejnym powodem, dla którego nie lubiła kotów – wtedy, gdy najbardziej zależało jej na tym, by nikt jej nie widział, każdy kot się nią interesował. Niektóre wręcz przychodziły ocierać się o jej nogi. W samym środku niebezpiecznych i ważnych akcji! Strasznie ją irytowało, że potrafią pojawiać się wtedy, kiedy im pasuje, tylko tam, gdzie im pasuje, i zostać dopóty, dopóki mają ochotę. I jeszcze zachowują się tak, jakby robiły łaskę.

Bazylia otrzepała ręce z ziemi, poprawiła sukienkę i westchnęła z rezygnacją. Zniecierpliwiona postanowiła zignorować kota i go obejść. Nawet nie drgnął, patrząc jej prosto w oczy z ironicznym – mogła przysiąc – uśmiechem.

Niewiele godzin później hrabina przekonała się, że kot rozmyślnie stanął na jej drodze, zmieniając tym samym bieg rzeczy.

ZMIANA PLANÓW

Po lewej stronie od miejsca, w którym siedział kot, rósł las, po prawej zaś zaczynało się urwisko, którego skrajem Bazylia von Wilchek dotarła na polanę, gdzie przed chwilą zasadziła swoje włosy. Teraz z powodu kota nie mogła wrócić tą samą drogą. Nie

mogła też pójść w prawo, wybrała więc ścieżkę w lewo, skręcającą do lasu. Wcale nie miała ochoty dłużej zwlekać z opuszczeniem tej pięknej doliny, lecz wydeptana przez dzikie zwierzęta dróżka wiła się w głąb między drzewami. W końcu, dzięki nadzwyczaj dobremu zmysłowi orientacji, Bazylia zorientowała się, że całkowicie zbłądziła. Już miała wspinać się na drzewo, żeby ponownie rozpoznać kierunki świata, kiedy coś ją zaciekawiło.

Za najwyższym bukiem, jaki właśnie znalazła, zobaczyła małą, urokliwą polankę. Wyścielał ją miękki mech i białe, dopiero co rozkwitłe wiosenne kwiatki. Zachodzące już słońce ostatnimi promieniami muskało pozostałości deszczu na roślinach. Odbijało się tęczowo w ich wilgoci jak w bańkach mydlanych. Uśmiechnęła się, bo mimo wieku i licznych doświadczeń życiowych głęboko w sercu wciąż była dzieckiem. Zamiast więc wspiąć się na buk, wyszła na polankę i z uśmiechem na twarzy zapatrzyła się w ten widok.

Gdy przestała chłonać piękno krajobrazu, było całkiem ciemno i wdrapywanie się na rozłożyste drzewo straciło sens. Przypomniała sobie białego kota już prawie bez złości. Postanowiła przeczekać w tym miejscu do świtu i po własnych śladach wrócić do pensjonatu. Usiadła pod bukiem z nogami wyciągniętymi przed siebie, bardzo zadowolona z tego, że ma na sobie szal w kolorze morza. W roztargnieniu zapomniała go zdjąć, więc gdy szukała idealnego miejsca do zasadzenia włosów, było jej w nim trochę za ciepło. Teraz się przydał. Utkany przez starą Inkę z lamiej wełny, był lekki, wygodny i tak duży, że Bazylia cała mogła się nim otulić. Do tego zarówno grzał, jak chronił przed wiatrem, słońcem i deszczem.

Gwiazdy świeciły mocno na niebie, kiedy z nieplanowanej, wypełnionej niespokojnymi snami drzemki hrabinę wyrwało głośne chrząknięcie. Otworzyła oczy, zaskoczona tym, że komukolwiek udało się ją podejść. W dzieciństwie przeszła tyle treningów, że dysponowała prawdziwie indiańską umiejętnością wyłapywania dźwięku najciszej skradających się stóp. „Nie ostrzegł mnie nawet mój wilczy wąż?”, zastanowiła się, bardzo zdumiona. Siedziała z całkiem już otwartymi oczami i przyglądała się może piętnastoletniej, szczupłej dziewczynie, dobrze widocznej w świetle księżyca.

– Co robisz na mojej polanie? – niezbyt uprzejmie spytała lekko chropowatym głosem nieznajoma.

– Zabłądziłam – odrzekła Bazylija swoim zwykłym, bardzo wdzięcznym i ciepłym tonem, bo chrypka po ostatniej wyprawie minęła jej w pensjonacie.

Dziewczyna stała chwilę ze splecionymi rękami, patrząc na nią w milczeniu. W końcu odwróciła się na pięcie, skinęła głową na Bazylię i rzuciła:

– Chodź.

Hrabina nie zastanawiała się zbyt długo. Całe życie spędziła w podróżach, poznając nowych ludzi, i nigdy nie spotkało jej z tego powodu nic złego. Wstała więc szybko i ruszyła za znikającą po drugiej stronie polany nieznajomą. Nie musiała iść daleko, bo choć sądziła, że dziewczyna wyprowadzi ją z lasu, ta przeszła tylko na sąsiednią polanę, gdzie stała drewniana leśniczówka.

Jakież było zdziwienie Bazylii, gdy dostrzegła, że na samym środku małego ganku siedzi – najwyraźniej zadowolone z siebie – białe kocisko! Hrabina zacisnęła usta, bo wcale nie miała

ochoty wchodzić do środka, ale pytające spojrzenie dziewczyny nie pozwoliło jej na nieuprzejmość.

W niedużej kuchni pachniało suszącymi się nad kaflowym piecem ziołami. Było ciepło i całkiem przytulnie. Z opalonego od blachy czajnika młoda gospodyni nalała do kubeczka parującego wywaru ziołowego i bez słowa podała go Bazylii. Ta, również w milczeniu, przyjęła kubek, zauważając, że ma trochę zimne dłonie i herbatka bardzo jej się przyda.

Siedziały teraz we dwie na tej samej ławie co kot i dyskretnie przyglądały się sobie. Bazylia zauważyła, że dziewczyna ma ciekawą urodę. Nie była ani ładna, ani brzydka, raz tak, raz tak, w zależności od tego, jak padało światło ze słabej lampy. Była za to dość oryginalnie ubrana, trochę chłopięco, trochę dziewczęco. To ledwie wyrosnięte dziecko spoglądało na Bazylię bardzo dużymi oczami to z nieufnością, to z zaciekawieniem. Na bladej buzi malowały się pytania, których jednak nie zadawało.

Kiedy hrabina dopiła ziółka, dziewczyna pokazała jej łazienkę w przybudówce, podłączoną do polowego systemu oczyszczania ścieków, a potem zaprowadziła do ciasnego pokoiku na poddaszu. Mieściły się tu jedynie materac – na którym zdążył już usiąść kot! – oraz książki ułożone w stosy wzdłuż całej ściany. Na brzegu materaca młoda gospodyni położyła czystą pościel, wyjęła upchnięty w kącie termiczny śpiwór i powiedziała:

– Można się położyć.

– Och, to chyba twój pokój. Nie chcę ci sprawiać kłopotów, mogę zdrzemnąć się gdziekolwiek. – Bazylia uśmiechnęła się ciepło.

Dziewczyna spojrzała na nią przenikliwie, pokręciła głową i zbiegła na dół, zanim hrabina zdążyła zaprotestować. Bazylią popatrzyła z niechęcią na białego kota, ale ten jak gdyby nigdy nic czyścił sobie długie futro. Koniec końców, poczuła się bardzo zmęczona. Położyła się na ciut za krótkim posłaniu obok kociska, które zajęło połowę miejsca. Skuliła się w najmniejszą możliwą kuleczkę i szybko zasnęła.

Przyśnił jej się dawno zapomniany sen, który nawiedzał ją kilkanaście lat wcześniej. Kryła się za kolumną w wielkim, pustym i ponurym pałacu. Podglądała swojego wroga, Maszkarona. Ni to człowiek, ni to stwór, o popielatej cerze i w powłóczystych szatach, nachylał się nad kryształową kulą. W skupieniu oglądał życie na Ziemi. W przepelnionej ciszą sali dało się słyszeć jedynie szelest jego czarnych szat. Był tak chudy i wysoki, że wyglądał, jakby miał się złamać wpół. Nagle Bazylii wydało się, że usłyszała chrobot kości ocierającej się o kość. Spojrzała pod jego nogi. Stał na splecionym z pieszczeli podeście. To było coś nowego. Jej serce zaczęło bić szybciej i głośniejsze, a odgłos bicia odbił się echem od pustych ścian. Maszkaron wyprostował się gwałtownie i skierował swoją szkaradną głowę dokładnie w stronę Bazylii. Poczuła, jak jego oczy przewiercają kolumnę na wylot, niemal jej dotykają. Gdy wyciągnął w jej stronę rozcapierzoną suchą rękę, wypowiadając jakieś straszne zaklęcie, rzuciła się do ucieczki.

Biegła niekończącymi się korytarzami i schodami w dół, a potwór deptał jej po piętach. Wpadła wreszcie do lochów, które знаła z innych snów. Wiedziała, że są pełne uwięzionych nieszczęśników. Już miał jej dopaść, kiedy nieoczekiwanie pojawiła się dziewczyna z leśniczówki. Machała do Bazylii, ponaglaając ją.

Maszkaron przyspieszył. Sięgnął swoją łapą, złapał szal Bazylii i zdarł go z niej. Hrabina poczuła się wyczerpana, lecz w tej samej chwili nieznajoma dziewczyna otworzyła drzwi do jednego z lochów. Wylała się z niego jasna struga silnego światła. Gadzi stwór zaryczał wściekle, ale Bazylia wskoczyła w światło i obudziła się.

Serce waliło jej tak, że czuła, jak pod dłonią porusza się cała klatka piersiowa. Nie zносиła snów o Maszkaronie. Zwłaszcza tych, w których przebywała w jego upiornej krainie. Długo nie mogła się uspokoić, rozmyślając o swojej misji i tym wszystkim, co widziała we śnie. Wiedziała, że nie można go lekceważyć. Raz już się z nim zmierzyła, i to tylko z połowicznym sukcesem. Teraz znowu knuł, jak narzucić ludziom swój mroczny wpływ, i to właśnie dlatego musiała wyruszyć w tę naprawdę niebezpieczną misję w Himalaje. A obecnie Maszkaron wydawał się jeszcze większy i silniejszy niż kiedyś. W żadnym wcześniejszym śnie nie zorientował się, że Bazylia go podgląda. Błądziła po jego lochach, dotykało ją poczucie beznadziei jego więźniów, ale ani razu nie musiała przed nim uciekać. Nigdy też nie czuła się aż tak przerażona i bezradna. Zasnęła pełna niepokoju.

